

Krzysztof Jeżewski

Wspomnienie w dziesiątą rocznicę śmierci : Konstanty Jeleński (1922-1987)

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 2, 220-225

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIE W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

KONSTANTY JELEŃSKI (1922–1987)

To nieprawda, że nie ma ludzi niezastąpionych. Każdy z nas jest unikalny i może na tym polegać cała wielkość i tragizm istnienia. Unikalny, a przecież ulotny, przemijający, skazany na znikomość i zniknięcie. Nawet ci najwięksi, ci, którzy są dumą i ozdobą rodu ludzkiego. I może dlatego właśnie śmierć nadaje życiu najwyższą cenę. To ona, jak mówi Czesław Miłosz, „nasz kształt na wieki spełni”. Im piękniejsze życie, tym piękniejszy, tym bardziej nieśmiertelny będzie ten kształt...

A jednak są śmierci, z którymi nie sposób się pogodzić. Nie sposób nawet w nie uwierzyć. Tak było ze śmiercią Witolda Gombrowicza, o którym nazajutrz po jego zgonie Konstanty Pużyna napisał w „Polityce”: „Nigdy mi nie przyszło do głowy, że mógł umrzeć”. Czyż nie to samo dokładnie można było powiedzieć o Konstantym Jeleńskim?

Dla młodej elity intelektualnej w Kraju, ostatnich trzech a nawet czterech pokoleń Polaków, był postacią legendarną. Każdy chciał go spotkać, zobaczyć chociaż, każdy chciał go usłyszeć, nasycić się światłem jego olśniewającej, przenikliwej inteligencji, wdziękiem jego wykwiśniętego, a zarazem niezmiernie naturalnego sposobu bycia, jego unikalnej serdeczności i czułości w obcowaniu z ludźmi, jego nieskazitelnej prostoty i skromności, która cechuje prawdziwych arystokratów, jego subtelnego humoru, jego dobroci i wyrozumiałości. Każda rozmowa z Kotem, jak go nazywano w środowisku międzynarodowej elity intelektualno-artystycznej Paryża, która go wciąż szczerze oplakuje (choć w ciągu ostatnich lat odeszło także wielu jego przyjaciół), to było jakby oddychanie górskim powietrzem, atmosferą szczytów. Bo ten piękny mężczyzna, o nieodpartym uroku i niezapomnianej, aksamitnej barwie głosu, był przede wszystkim Mędrcem i autentycznym demokratą-liberałem, występującym w obronie wszystkich tych, którzy padli ofiarą wszelkich prześladowań i totalitaryzmów, czy to z lewa, czy to z prawa. To był prawdziwy „głos wolny wolność ubezpieczający” i więcej jeszcze — innych wolnością hojnie obdarzający. „Całe jego życie — jak podkreślił śp. ks. Zenon Modzelewski w pięknym kazaniu w czasie mszy na jego intencję — było poszukiwaniem piękna, dobra i prawdy.” I w tym, Konstanty Jeleński, choć agnostyk, jakże był bliski ideałom chrześcijaństwa. To prawda, że jego głęboki racjonalizm kazał mu wystrzegać się zarówno utopii komunizmu jak i transcendencji religii. Jednakże, bez względu na to jak by przebiegła jego ewolucja światopoglądowa (przypomnijmy przypadek Jastruna, Kijowskiego, Kamińskiej, Wirpży, a we Francji nawet Malraux i Sartre’a — ten ostatni, według świadectwa Jeana Guittona, w jednym z ostatnich wywiadów przed śmiercią, ukrytym przez Simone de Beauvoir, przyznał się do całkowitej porażki i oświadczył, iż wierzy w Boga), Jeleński, podkreślmy to raz jeszcze, należał do tych agnostyków, z którymi chrześcijanie najłatwiej znajdują wspólny język.

I nieprzypadkowo w ciągu ostatnich dziewięciu lat przed śmiercią zbliżył się do Kościoła. „Nigdy nie przypuszczałem w młodości, że przyjdzie dzień, gdy będę się czuł tak bliski Kościoła polskiego” zwierzył się poccie i krytykowi, prezesowi francuskiego PEN-Clubu, René Taverniera. „Głos Jana Pawła II poruszył go tak jak wszystkich Polaków, wszystkich chrześcijan, a raczej wszystkich tych, dla których bycie człowiekiem wymaga obecności i godności” pisał tenże na łamach „France Catholique” (nr 2106 z 15 maja 1987) w pięknym wspomnieniu o zmarłym przyjacielu. Świadectwem tego zbliżenia, a właściwie pojednania (przypomnijmy wszakże, iż w swojej znakomitej skądinąd *Anthologie de la poésie polonaise* — I wyd. Seuil 1965; II wyd. rozszerzone, L'Age d'Homme 1981 — Jeleński pomiął niemal polską lirykę religijną i mistyczną), stał się jego świetny przekład tomu poezji Papieża dokonany wspólnie z Pierrem Emmanuelem i Anną Turowiczową.

Konstanty Jeleński był wielkim Polakiem, dalekim jednak od rozmaitych polskich nacjonalizmów, Polakiem o rzadkiej szerokości horyzontów, a zarazem zupełnie pozbawionym słynnych polskich kompleksów. Bo ten najlepszy ambasador, a zarazem duch opiekuńczy, jakiego kultura

polska miała po wojnie na Zachodzie, rozmawiał zawsze z Europą jak równy z równymi, Może dlatego, że był jednocześnie wielkim Europejczykiem (oby nie jednym z ostatnich!) spadkobiercą tych wszystkich wartości, jakie Europa gromadziła od stuleci, a które zwa się humanizmem i decydują o godności człowieka. Ten humanizm był dla Konstantego Jeleńskiego czymś naturalnym jak powietrze, którym się oddycha. Cały był wypełniony duchem braterstwa i altruizmu wobec bliźnich, niesienia pomocy ludziom dobrej woli, bez względu na ich pochodzenie, narodowość, wyznanie, kolor skóry. Jakże trafnie i pięknie określił go jednym tylko zdaniem śp. Józef Czapski w czasie tej samej mszy żałobnej: „On był nie tylko naszym przyjacielem, on był bratem nas wszystkich”.

Przy całej swojej wyjątkowości, znakomitym talencie pisarskim (pięćdziesięcym! — bo pisał także po francusku, włosku, angielsku i niemiecku), który stawia go w rzędzie największych eselistów polskich drugiej połowy tego stulecia (część jego dorobku zebrana została w tomie pt. *Zbiegi okoliczności*, Paryż 1982, Instytut Literacki), wyrafinowanym smaku i znanstwie, które zapewniły mu miejsce pośród wybitnych współczesnych krytyków sztuki na Zachodzie, Konstanty Jeleński należał jednak do wcale nierzadkich, charakterystycznych niemal przedstawicieli pokolenia urodzonego i wychowanego w Polsce Niepodległej, tego pokolenia, o którym Józef Piłsudski powiedział proroczo, że „stworzy nową treść życia Polski. Będzie solidne, ideowe, patriotyczne. Będzie miało poczucie honoru i obowiązku. Odznaczać się będzie szlachetnością. Polski tknąć nie da”. (Rozmowy z Arturem Śliwińskim w 1931 r.), tragicznego i wspaniałego pokolenia Kolumbów, zmiądzzonego, unicestwionego przez tryby Historii, a które przecież przez tę samą Historię zostało uświęcone, przeszło do legendy, zdobyło nieśmiertelność. Takie pokolenie zdarza się chyba raz na kilkaset lat! Choć miało ono, nieprzypadkowo, wiele wspólnego z innym równie wyjątkowym — pokoleniem Niepodległościowców. Bowiem to pierwsze wywalczyło odrodzoną Polskę, a to drugie Jej broniło... Jeleński uczęszczał przecież do tej samej klasy w słynnym gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie razem z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim, Tadeuszem Zawadzkim („Zośka” z Szarych Szeregów), Jankiem Bytnarem („Czarnym”), Maciejem Dawidowskim („Alkiem”)... Różnił się od nich jednak swoim skrajnym indywidualizmem, co go tak bardzo zbliżało do Witolda Gombrowicza, którego dzieło wylansował później, po wojnie, w Europie. Być może dlatego został oszczędzony, życie jego potoczyło się inaczej, los wyznaczył mu inną misję do spełnienia.

Bo w przeciwieństwie do swoich kolegów z ławy szkolnej, Konstanty Jeleński był dzieckiem szczęścia. Wychował się w środowisku zamożnej i niezmiernie światłej inteligencji szlacheckiej. Jego ojciec, Konstanty, był dyplomatą na placówkach w Madrycie, Bukareszcie, Wiedniu, Królewcu i Monachium. Do kuzynów jego matki należeli Karol Szymanowski i antropolog Stefan Czarnowski, a do przyjaciół Józef Beck, Artur Rubinstein, Paweł Kochoński, Stanisław Ignacy Witkiewicz, poeci Skamandra, Bolesław Wieniawa-Długoszowski... Jeszcze jako całkiem młody człowiek (Polskę opuścił z matką w grudniu 1939 dzięki pomocy włoskich przyjaciół), w czasie pobytu w Anglii, gdzie odbył błyskotliwe studia, stykał się najpierw z elitą intelektualną angielską. Potem, po odbyciu kampanii wojennej w Normandii, Belgii i Holandii z Pierwszą Dywizją Pancerną (za co otrzymał Krzyż Walecznych, dwukrotny Medal Wojska i Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami), osiedlił się we Włoszech, gdzie pracował w Międzynarodowej Organizacji do Spraw Uchodźców (I.R.O.), a następnie w departamencie ekonomicznym ONZ dla Spraw Żywności i Rolnictwa (FAO). Zaprzyjaźniony z Józefem Czapskim (obaj reprezentują moim zdaniem to, co było najpiękniejszego i najcenniejszego w kulturze Polski szlacheckiej zarówno w płaszczyźnie psychiki jak i języka i kultury) rozpoczął w 1950 roku regularną współpracę z paryską „Kulturą”. Serdeczne więzy łączyły go z rodziną Benedetta Crocego, Albertem Moravia i jego żoną Elszą Morante, Ignaziem Silone. Jego działalność, od czasu osiedlenia się w Paryżu w 1951 roku, dokąd sprowadziła go Leonor Fini, jedna z wielkich malarzek współczesnych (zmarła w styczniu 1996), która stała się jego towarzyszką aż do śmierci, zasługiwałyby z pewnością na osobną monografię: praca w Sekretariacie Generalnym Kongresu Wolności Kultury i redagowanie słynnego miesięcznika „Preuves”, organizacja seminariów międzynarodowych, pomoc dla intelektualistów Krajów Europy Wschodniej w ramach „Komitetu pisarzy i wydawców dla europejskiej samopomocy” a później Fundacji Europejskiej dla Samopomocy Intelektualnej, a od 1973 dyrekcja Centre Royaumont pour une Science de l’Homme i wreszcie od 1976 aż do śmierci praca w Institut National de l’Audiovisuel. W międzyczasie bogata publicystyka na łamach prasy francuskiej, angielskiej, amerykańskiej,

włoskiej i niemieckiej i oczywiście polskiej („Kultura”), dziesięć wydanych książek, owoc niezmiernie szerokich zainteresowań Kota: polityka, ekonomia, socjologia, nauka, literatura, teatr, malarstwo, poezja... Tak, to była iście renesansowa osobowość i umysłowość. I jak Gombrowicz, zawsze młodzieńcza, tryskająca życiem i ciekawa życia w każdej postaci. Mało jest Polaków, którzy mieli tak barwną, bogatą i pasjonującą egzystencję: iluż czołowych pisarzy, artystów i filozofów Europy i obu Ameryk zaliczało się do grona jego przyjaciół!

Niech mi będzie wolno zaliczyć kilka wspomnień natury osobistej rzucających, jak sądzę, dodatkowe światło na tego niezwykle, niezapomnianego Człowieka, którego tak pięknie ewokowali po Jego śmierci śp. Józef Czapski, Czesław Miłosz, Gustaw Herling-Grudziński, Krzysztof Pomian i inni. Poznałem Kota w 1966 roku, kiedy przyjechałem do Paryża z zamiarem zbadania możliwości opracowania francuskiego wyboru pism Cypriana Norwida. Byłem pod wrażeniem przekładów jego wierszy zamieszczonych w słynnej antologii poezji polskiej opracowanej przez Kota przy współudziale grupy wybitnych poetów francuskich. Norwid po raz pierwszy zabrzmiął w nich jak wielki poeta europejski. Miałem już za sobą szereg prób tłumaczenia jego poezji, których dokonałem przy współpracy kolejnych kierowników Centre de Civilisation Française przy UW. Niektóre z nich drukowane były na łamach „Perspectives Polonaises”. Nigdy nie zapomnę tego spotkania. Przybyłem z kraju, w którym nie było już czym oddychać (był to okres „reakcji gomułkowskiej” i wzrostu wpływów „czerwonego faszystwu” gen. Moczarą), kraju, który był mi obcy, w którym nigdy nie czułem się jak u siebie w domu. Żyłem tam wychylony w przeszłość, w mityczną i wyidealizowaną sferę Dwudziestolecia. To był mój utracony Eden, którego czułem się jednym z ostatnich wygnańców (urodziłem się na cztery miesiące przed wybuchem wojny!). A przecież w osobie Kota cały ten świat ożył, zmartwychwstał, i to w swoim najlepszym wydaniu! On stał się dla mnie uosobieniem Polski Niepodległej, jak Krzysztof Kamil Baczyński, jak Jerzy Iwanow-Szajnowicz, jak pokolenie Kolumbów... To było tak, jakbym odnalazł starszego brata, który gdzieś się w świecie zagubił w wichurze dziejowej, a teraz z nieskończoną tkliwością, wydobywał mnie z otchłani samotności. Józef Czapski określił Kota mianem „hojności błyskawicznej”. Ież w tym prawdy! Ale była to także błyskawiczna czułość, błyskawiczne braterstwo, błyskawiczna przyjaźń. Bo ten człowiek był niezmiernie rzadkim przypadkiem połączenia nader lotnej inteligencji z równie przenikliwą intuicją prześwietlającą niemal osobę, z którą miał do czynienia. Bo przyjaźń tak jak miłość, winna „chwycić” od pierwszego wejrzenia. To jakby przeskok naglej iskry, objawienie jakiejś tajemnej wspólnoty, powinowactwo duchowe... A nikt nie potrafił równać się z Kotem w sztuce przyjaźni... Był w niej absolutnie wierny... I zawsze gotów do wsparcia i pomocy. Zawsze otwarty dla innych. Było w nim coś jakby z idealnego harcerza... A Witold Gombrowicz kojarzył Kota z „proletariacką prostotą żołnierza”.

Umówiliśmy się w siedzibie Congrès pour la Liberté de la Culture, instytucji, w której Kot działał u boku Pierre Emmanuela, wybitnego poety i humanisty katolickiego. Po krótkiej chwili rozmowy, moja wrodzona nieśmiałość i rezerwa zostały rozbrojone, lody prysły. Miałem wrażenie, że znamy się od lat, że jesteśmy na tej samej długości fal. Pamiętam jego komplement, który wypełnił mnie szczególną satysfakcją: „Ma Pan piękną, zupełnie przedwojenną polszczyznę” powiedział do mnie. Zdumiał mnie swoim odczytaniem. Znał wszystkie moje publikacje przekładowe (drukowałem wówczas w Polsce teksty wielu poetów francuskich i hispanoamerykańskich) i oczywiście tłumaczenia Norwida. „Zakończyłem już moje prace nad tym poetą i z radością prześlę Panu „paleczkę norwidowską”. Przedstawię Pana moim współpracownikom, poetom francuskim.” I zrobił to niebawem. Dzięki niemu nawiązałem szereg cennych kontaktów literackich. Tu muszę podkreślić jego niezwykłą słowność i sumienność. Zawsze dotrzymywał swoich obietnic. O nikim nie zapominał. Kiedy ten człowiek, zawsze niezwykle zajęty i zapracowany, w nieustannym pośpiechu, znajdował na to czas?

Widywaliśmy się potem od czasu do czasu, a każde z tych spotkań było dla mnie świętem. Pewnego dnia spytał mnie, czy chcę, by mnie przedstawił... Gombrowiczowi, który akurat, wiosną 1967 roku bawił w Paryżu. Zatkąło mnie, tego się nie spodziewałem. Bo trzeba zdać sobie sprawę, kim był dla nas w kraju, w owych okropnych czasach, Gombrowicz. Każda niemal strona jego dzieł była dla nas objawieniem. Uraślał niemal do rangi wieszczka, proroka, wyzwoliciela. Był technieniem wolnego ducha. Można było o nim powiedzieć dokładnie to samo, co powiedział Kraśniński o Mickiewiczu: „On był dla ludzi mego pokolenia mlekiem i miodem, żółcią i krwią ser-

deczną, my z niego wszyscy...” Stchórzyłem, zmieszalem się, powiedziałem: „Boże, on zrobił się taki wielki...” Do dziś żałuję... A rok później, nie było go już pośród żywych...

Kolejne nasze spotkanie miało miejsce dopiero w listopadzie 1970 roku (do Polski wróciłem w maju 1967). W międzyczasie przeżyliśmy w kraju jeden z najczarniejszych okresów: marzec 1968, faszycyzacja prasy i mediów, antysemityzm, podział i dezorientacja społeczeństwa, agonía znenawidzonego reżymu Gomułki — wiele osób z elity intelektualnej, w tym szereg moich przyjaciół, wyjechało na emigrację. Mnie udało się uzyskać osmiomiesięczne stypendium rządu francuskiego, które, jak się potem okazało, było podświadomym odruchem wyzwolenia się z krajowego koszmaru. Co mnie uderzyło wtedy w rozmowach z Kotem, to jego postawa zupełnie wyzbyta nienawiści i manicheizmu, spojrzenie jakby z góry na sprawy i ludzi tego świata, spojrzenie pełne wyrozumiałości i współczucia dla ich słabości, daleko idąca tolerancyjność, pojmowanie rzeczywistości jako nieustannego ruchu i przemiany, a więc także zła w dobro, choć również i na odwrót. Pamiętam dobrze moje spotkanie z Kotem przypadkowo na wyspie św. Ludwika, latem 1980 roku, po moim półtorarocznym pobycie z rodziną na Filipinach. Ucieszyliśmy się bardzo i od razu zaczęliśmy mówić na temat tego, co się działo w kraju. „To przecież początek końca komunizmu” powiedział do mnie. Innym razem, kilka miesięcy przed śmiercią, chyba w rozmowie telefonicznej, komentując wydarzenia krajowe, zauważył proroczo: „nie żałuję komunizmu, ale przerażeniem wypełnia mnie to, co pojawia się na jego miejsce”. Bo jednej rzeczy nie zniósł: fałszu i obłudy, wszelkiego fanatyzmu i zaślepienia, sekciarstwa, zaskorupiania się w samouielbieniu, postawy wrogiej, wzgardliwej wobec tego, co odmienne, wszelkiej formy tyranii.

Jak wiele Jemu zawdzięczam. To właśnie dzięki Kotowi wszedłem do grona tłumaczy literatury polskiej we Francji: kiedy w 1974 roku wydawnictwo Denoël poszukiwało tłumacza do następnego tomu *Dziennika 1957–1960* Gombrowicza (tom z lat 1953–1956 przełożył Allan Kosko, ale zrezygnował z dalszych), Kot polecił mnie. Wyczuł z pewnością we mnie zapalonego „ferdydurkiście”. Zdawał sobie doskonale sprawę, że niezwykle ważnym elementem w sztuce tłumaczenia jest stosunek uczuciowy tłumacza do autora. Lubił też cytować pewnego krytyka angielskiego, który słicznie się wyraził, że „dobry przekład powinien zachowywać zapach języka oryginału”. I postawił chyba na dobrego konia, bo mój przekład *Dziennika 1961–1969* dokonany wspólnie z Dominique Autrand (przejąłem właściwie jego metodę tłumaczenia na cztery ręce) otrzymał nagrodę za najlepszą książkę roku 1981. Tą samą metodą przełożyłem potem inne książki Gombrowicza: *Wspomnienia polskie, Ja i mój sobowtór* (pierwsza wersja początku *Ferdydurke*), *Varia II*, a w dalszej kolejności: szereg tomów Kuśniewicza, Schulza, Andrzejewskiego, Miłosza. Wielokrotnie z radością znajdowałem w jego świetnych recenzjach, które zawsze mi przysyłał, słowa wysokiej oceny dla mojej pracy.

Miałem dwukrotnie okazję i szczęście współpracować z Kotem: w 1983 zaprosił mnie do współpracy przy wyborze poezji Czesława Miłosza, wydanym rok później przez Luneau-Ascota (*Poèmes 1934–1982*). Przełożyłem do tego tomu 31 utworów m.in. wspólnie z moim znakomitym współpracownikiem i naszym wspólnym przyjacielem, François Xavier Jaujardem (1947–1996), tłumaczem i wydawcą, którego zasługi i oddanie literaturze polskiej godne byłyby osobnego artykułu. Tłumaczyliśmy razem Norwida, Kuśniewicza, Andrzejewskiego, Miłosza, Baczyńskiego... Śmierć Kota zaskoczyła nas przy pracy nad przekładem *Nieobjętej ziemi* Miłosza (Fayard 1988). Z głębokim wzruszeniem zadedykowaliśmy ten tom świetlanej pamięci Konstantego.

„Spotkaliśmy się” po raz drugi z Kotem przy okazji Norwida. Na stulecie jego śmierci w 1983 roku przygotowałem wybór jego 45 wierszy do specjalnego numeru kwartalnika „Obsidiane”. I tu nastąpiła zabawna historia. Redaktor tego pisma, poeta François Boddaert (który odkrył Norwida dzięki antologii poezji polskiej Jeleńskiego), jak to się często zdarza Francuzom, którzy zupełnie nie zwracają uwagi na nazwiska obce, pomylił mnie z Kotem! (Konstantego zawsze bawilo to, że mieliśmy nawet ten sam monogram: K.A.J. — Konstanty Aleksander Jeleński i Krzysztof Andrzej Jeżewski.) Ten odpisał mu jak zwykle z wdziękiem i dowcipem, że „dokonując aliażu nas obu, stworzył dwugłowego norwidystę”. I z właściwą sobie lojalnością i *fair-play*’em odesłał go do mnie zaznaczając, że „dokonałem dla Norwida wspaniałej pracy, pełnej abnegacji, sumienności i wrażliwości”. I dobrze się stało, bo cały wybór (dzięki sugestii Kota) został poprzedzony jego pięknym esejem o Norwidzie drukowanym w 1964 w „Mercure de France”, ja zaś dołączyłem do niego swoje posłowie. List Kota do Boddaerta zawiera też ciekawy i charakterystyczny dla jego postawy *passus* („Obsidiane” chciał zwrócić się do ówczesnych władz polskich o pomoc w zorga-

nizowaniu polsko-francuskiego sympozjonu norwidowskiego w Sens); Jeleński pisze w nim, że „byłaby to obraza pamięci Norwida, tego nieprzejednanego wygnanica nie przestającego nigdy piętnować carskiej tyranii”, który, „skoro te same tragedie wieczyście powracają, stał się niejako symbolem oporu wobec faszystowsko-komunistycznej junty Jaruzelskiego”.

I jeszcze jeden przyczynek do charakteru Kota: niedługo potem moja sytuacja finansowa bardzo się pogorszyła, a miałam na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci. Na domiar złego nie zanosilo się wcale na jakieś nowe tłumaczenie. Wysłałem więc do Kota rozpaczliwe S.O.S. I tu jeszcze raz wprawil mnie w zdumienie swoją wspaniałomyślnością: po prostu przekazał mi do tłumaczenia *Świadectwo poezji* Czesława Miłosza, na które miał już umowę z Presses Universitaires de France i nad którymi zaczynał pracować!

Nawiasem mówiąc, mieliśmy niemało wspólnego, poza naszym monogramem: miłość do poezji Norwida i Miłosza i do poezji polskiej w ogóle (pamiętam jak na prezentacji swojej antologii w Centre Pompidou w 1982 roku Kot powiedział: „Nie powiem, że poezja polska jest najpiękniejsza ze wszystkich, ale sądzę, że zajmuje miejsce zaraz po poezji francuskiej, angielskiej i niemieckiej”); uwielbienie dla pisarstwa Gombrowicza, dla malarstwa Leonor Fini (cóż to była za fascynująca kobieta!) i miłość do... kotów. W swoim pięknym mieszkaniu przy 8, rue de la Vrillière w Paryżu Leonor i Konstanty chowali kilkanaście kotów, które ta niezwykła artystka uwieczniała na swoich płótnach. Kot (ten przydomek nie był przypadkowy, bo miał on w sobie coś z elegancji i subtelności kociego rodu) oczywiście też się na nich pojawiał. Ciekawe, że malował go już, dwukrotnie, jeszcze jako dziecko, sam Stanisław Ignacy Witkiewicz... Przygotowuję obecnie antologię światowej poezji o kotach i wiem, że Leonor i Konstanty uśmiechają się do mnie z zaświatów...

Kiedy ukończyłem, po dwunastu latach pracy, mój tom wierszy *Muzyka* (jakby poemat, którego poszczególne ogniwa inspirowały dzieła muzyczne), krytyka uważa go zresztą za najważniejszy w moim dorobku, zaniósłm go oczywiście Kotowi. Reprezentuję rzadki w poezji polskiej nurt ezoteryczno-mistyczny i wiedziałem, że nie leżało to specjalnie w kręgu jego zainteresowania. Ale właśnie dlatego ciekaw byłem ogromnie Jego opinii. Był pod wyraźnym wrażeniem tej lektury; oddał mi maszynopis mówiąc: „No, Krzysztof, tego to jeszcze w poezji polskiej nie było. Zapęlniłeś niemałą lukę...” A potem napisał krótką opinię o tym tomie, którą dołączyłem obok kilku innych do mojego zbioru. Jak trafnie ujął w niej przy okazji moją osobowość i działalność, jak pięknie się wyraził o „całkowitym zaufaniu”, jakie ma do mnie „zarówno w dziedzinie słowa jak w tej gdzie «grają niezmiennie sfery niebios i planety»”. Nieprzypadkowo chyba zacytował tu słowa z wiersza *Mistrz* Czesława Miłosza, naszego ulubionego poety. Wyobrażam sobie jego radość, gdyby mógł przeczytać liczne doskonałe artykuły w prasie polskiej, które, po latach bojkotu mojej poezji, ukazały się na temat *Muzyki* w Polsce.

Podobna sytuacja powtórzyła się (było to już kilka miesięcy przed Jego śmiercią), kiedy pokazałem mu projekt mojej wielkiej Kroniki poetyckiej życia Józefa Piłsudskiego *W blasku legendy* (Editions Spotkania, Paryż 1988), obejmującej 350 tekstów 160 autorów, w tym zarówno teksty panegiryczne jak krytyczne. Uznał pomysł za kapitalny i serdecznie zachęcał mnie do jego realizacji, a przecież nie należał bynajmniej do bezkrytycznych wielbicieli Marszałka. W tym był cały Kot: dzięki genialnej intuicji potrafił ocenić nawet to, z czym się nie zgadzał, co było obce jego gustom i odczuwaniu. Jak mało ludzi zdolnych jest do takiej oceny!

Nie widywaliśmy się często. Wiadomo, w Paryżu nie ma się czasu nawet dla najbliższych przyjaciół. Pozostawał kontakt telefoniczny i listowny. Ale już sama świadomość, że był tu gdzieś niedaleko, że w każdej chwili mogłem na niego liczyć, napawała otuchą, dawała poczucie bezpieczeństwa. Bo prawdziwy przyjaciel jest jak słońce: nawet kiedy zachodzi, wiemy, że jest nieopodal, że czuwa, że na pewno powróci...

Na krótko przed śmiercią Kot przeszedł na emeryturę i wyraźnie nie czuł się dobrze w tej nowej sytuacji: on, tak aktywny, tak zawsze pełen życia i energii... Nie, to do niego nie pasowało. Miałem nadzieję, że dzięki temu będziemy mogli nareszcie częściej się widywać, że wciągnę go do współpracy nad przekładem wyboru dzieł Norwida. Zgodził się chętnie, ale zdążył przelożyć tylko jeden wiersz...

Zachęcał moją żonę, Filipinkę, do malowania. Wdrapał się nawet kiedyś do nas na szóste piętro (mieszkaliśmy wtedy z dziećmi w dwóch *chambres de bonne* koło Jardin de Luxembourg), by dokładnie zapoznać się z Jej obrazami. Toteż miał być gościem honorowym na jej pierwszym

paryskim wernisażu we Foyer Jean Paul II, w maju 1987 roku. Ostatnia nasza rozmowa telefoniczna to było zaproszenie na wystawę Mayi. Kot zmarł kilka dni przedtem. Ale na wernisażu wszyscy jakby chodzili na palcach, czuli Jego obecność... To był wierny duch Kota...

Nasza przyjaźń miała też wzruszający epilog. Kiedy w 1990 roku Instytut Literacki utworzył nagrodę im. Konstantego Jeleńskiego dla tłumaczy literatury polskiej, zostałem jej pierwszym laureatem (*ex aequo* z Thérèse Douchy). To Kot słał mi braterskie pozdrowienie zza grobu...

Kiedy dziś wspominam naszą przyjaźń, zastanawiam się nad tym, jak niezwykle są te tajemne „związki dusz” między pokoleniami. Bo Kot był dla mnie również ogniwem, które łączyło mnie nie tylko z tym cudownym pokoleniem, do którego należał, ale też z moim ukochanym poetą, Krzysztofem Kamilem Baczyńskim i z moim ulubionym pisarzem, Witoldem Gombrowiczem.

Jakże głęboką, smutną prawdę wyraził Czesław Miłosz w artykule na łamach „Le Monde” po jego śmierci: „Bez Kota Paryż nie jest już tym samym miastem”. Istotnie, coś jakby w nim pękło, coś zgasło... Tak jakby ubyło mu duszy...

Kończąc tę skromną garść wspomnień o Nim, chciałbym zacytować słowa Jego (naszego) ukochanego Norwida, z nekrologu Chopina. Jak pięknie pasują one do Konstantego:

„Cały prawie żywot (bo część główna) poza krajem spędził dla kraju.

To jest, co największego dopiąć może wychodzić (...)

Wszędzie jest — bo w Ojczyźnie duchu mądrze przestawał — i w Ojczyźnie spoczął, bo jest wszędzie...”

Krzysztof Jeżewski (Francja)